

Duchowa moc wędrowania

Wędrowanie to ważny element mojej duchowej drogi. Rozpycha się wewnątrz mnie. Rozciąga mój świat. Przychodzi z pomocą w kluczowych momentach.

Wędrowanie zaczęło dopominać się o swoje miejsce w moim życiu najmocniej na progu dojrzałości, w liceum. Z jednej strony bałem się go, a z drugiej pragnąłem. Bałem się, gdyż wędrowanie to wychodzenie poza to co znane. Niepewność. Bałem się tego, co może mnie spotkać w miejscach, których nie znałem. Obawiałem się też innej rzeczy: pomyłki albo błędu. Co będzie, gdy coś prze-

oczę, nie dopatrzę rozkładu jazdy, gdy zabraknie mi pieniędzy i nie będzie na jedzenie i spanie? Sto takich i podobnych problemów! Wynajdywałem więc wciąż wiele ważnych spraw do załatwienia, zamiast ruszyć.

Pragnienie jednak zwyciężyło. Powoli, lecz systematycznie. Dręczyło mnie i fascynowało wędrowanie, jakaś tęsknota za przestrzenią, za byciem w drodze.

Kupowałem więc mapy i długo analizowałem szlaki i różne trasy. Planowałem wielkie wyprawy. Marzyłem.

Cieszyłem się każdą, nawet krótką wyprawą i każdym jej elementem. Staralem się być wdzięczny za całość, ale też za drobnostki: piękne widoki, udane połączenia komunikacyjne, za spotkanych ludzi, miłe chwile w cieniu, na kamieniu, pod drzewem, wśród śpiewu ptaków i podmuchów wiatru. Pomogło mi to przezwyciężyć opory i lęki. Teraz widzę, że intuicyjnie postępowałem zgodnie z poleceniem św. Ignacego, mojego późniejszego mistrza: *agere contra*, „działaj przeciwnie”. W strapieniu zły duch wzbudza zamieszanie, lęki, zamknięcia, by pozbawić nas oczekującej nas łaski. Dlatego stara się zniechęcić. Wtedy o tym nie wiedziałem, ale Pan nadrabia niewiedzę pragnieniami i intuicją. Odkrywam w tym Jego wielkie miłosierdzie i czułość.

Wędrowne dary

I rzeczywiście, wędrowanie okazało się dla mnie miejscem i czasem szczególnych łask. Pozwoliło mi odnaleźć siebie, odkryć swoją indywidualność i niepowtarzalność. Pomogło mi szczególnie w dwóch przełomowych momentach życia: przy wyborze studiów oraz po ich ukończeniu w decyzji co do powołania. Nie wiedziałem wtedy, co się ze mną dzieje, ale po prostu instynktownie pchało mnie do wędrowania, pociągała mnie wijąca się droga. Musiałem iść, musiałem coś w sobie „rozchodzić”.

Kiedy teraz patrzę na te moje wyprawy, nieraz bardzo szalone, na przelaj, po drogach i bezdrożach, przez całe dni, widzę jak one we mnie pracowały. Potrzebna była mi przestrzeń, szeroki oddech,

świeży powiew, samotność, a zarazem doświadczenie siebie całego, mojego ciała, oddechu, bicia serca oraz wiatru, słońca i deszczu. Pomimo zamieszania i ciemności chciałem żyć. Znajdowałem odwagę do wyrywania się ze schematów, odwagę, by podjąć trud oraz ufność w moje siły.

Tak było przy decyzji, by wybrać się na studia prawie 500 kilometrów od rodzinnego domu, do Lublina. Nikogo tam nie znałem, nigdy tam nie byłem. Lublin tchnął w tamtych latach aurą tajemniczości i kresowej nostalgii. Tam doświadczyłem mocy słowa: *Twoje słowo jest lampą dla moich stóp i światłem na mojej ścieżce* (Ps 119, 105). Podobnie było, gdy rozważałem decyzję wstąpienia do zakonu je-





grantów (swego rodzaju wędrowców). Irlandia ma wspaniałą tradycję wędrownych mnichów. Dla nich chodzenie było sposobem prowadzenia duchowego życia. Od czasów wędrówek po mistycznym irlandzkim Glendalough wciąż brzmią mi w sercu i napędzają mnie pokojem słowa: *Ty, Panie, każesz świecić mojej pochodni: Boże mój, oświecasz moje ciemności. Bo z Tobą zdobywam wały, mur przeskakuję dzięki mojemu Bogu (Ps 18, 29-30).*

Wędrowne przemiany

Wędrowanie nie ustało wraz ze wstąpieniem do zakonu. Budziło mnie z leżarku i tam. Podam przykład pewnego obozu ze studentami w górach: Było to

w paradoksalnym okresie jednoczesnego zasiedzenia i zabiegania. Najpierw musiałem się przemóc, niejako oszukać niechęć wynikłą z pewnego wygodnictwa, które wkrađło się w moje życie, i ruszyć, wyjść. Na ślepo rzuciłem się w wędrowanie. Ale już w drodze trzeba było przezwyciężyć różne słabości. Pomogło wsluchanie się w siebie, w to, co się we mnie działo, gdy stawiałem nogę za nogą i wchodziłem coraz wyżej, gdy patrzyłem na krajobrazy, otwierałem się na dźwięki, zapachy, podmuchy, promienie, otwierałem się na radość. Gdy pojawiały się reakcje ciała, zaprzyjaźniałem się z nimi; gdy ograniczenia – zauważałem je i akceptowałem. Jednocześnie delikatnie szukałem możli-

wości ich przezwyciężenia. Dalej przyszło zmaganie się z obawą przed najwyższymi szczytami (lęk wysokości). Lecz siedzenie na szczycie szybko uderza do głowy!

O dziwo, to nie wszystko! W miarę chodzenia przyszło pragnienie ograniczenia własnych dążeń i ambicji. Decyzja zwolnienia i poczekania. Wewnętrzne rozpychanie i zewnętrzne rozciąganie zrodziło chęć włączenia w te doświadczenia innych. Zapragnąłem więc wspierać innych – słabszych, zniechęconych, zamkniętych – by mogli wyjść trochę wyżej niż daliby radę sami. Wędrowanie w pojedynkę doprowadziło do wspólnoty pielgrzymiej.

ks. Jacek Poznański SJ

CNS photo

zuitów, decyzję bardzo świadomą, bo przepracowywaną przez lata studiów, wśród wewnętrznego zamieszania, smutku, cierpienia, ale także wielu pragnień, uniesień i zaangażowań. Wędrowanie pozwoliło mi „rozchodzić” obawę i niepewność, odnaleźć nadzieję, zaufanie do siebie i Boga, wiarę w życie i miłość, pomogło mi przyjąć w pokoju prawdę o sobie, piękno drogi i dobro, jakie mnie po drodze spotyka. Przekonało mnie, że wielkie rzeczy są dla mnie.

W tym wszystkim zauważyłem, jak Pan Bóg uczył mnie wędrować. Bo wędrowania też trzeba się uczyć. Uczyłem się przede wszystkim modlić wędrowaniem; był to czas szczególnie pięknej modlitwy, dużo w niej było cichego zachwyty, który pracował w sercu i umyśle. Wędrowanie stawało się sposobem bycia przy Panu, radowania się przed obliczem Boga, odpoczywania w cieniu Jego skrzydeł. Zrozumiałem to lepiej dopiero w Irlandii, wiele lat później, gdy już jako kapłan zakładałem w Dublinie duszpasterstwo dla emi-

